

Maria Michałowska

DOM NA POGRANICZU SNÓW

Wciąż ta sama ścieżka z ogromnymi jak parasole liśćmi łopianu po obu jej stronach. Szelest wysokich traw, coraz szybsze kroki. Gdyby nie bosa stópki migające wśród zarośli można by pomyśleć, że przemyka się wśród nich jakieś spłoszone zwierzątko. Mała srebrna łyżeczka w zaciśniętej pięstce – talizman na lepsze dni i skrzypnięcie nigdy nie oliwionych zawiasów furtki z brakującą sztachetą uspokoiły nieco bicie serca dudniącego niczym młot kowalski tłukący w kowadło. Jeszcze tylko kilka kroków i... już jest stara jak świat piwniczka, o której wszyscy dawno zapomnieli. Zarośnięta zielskiem i samosiejkami brzoź zbawienna kryjówka zapadnięta do połowy w ziemię. Nie dociera do niej słońce, ale dochodzą różnorodne dźwięki: porykiwanie krów, szczekanie psa, pobrzękiwanie ocynkowanych wiader przygotowywanych do wieczornego udoju i ten głos... wywołujący paniczny lęk, paraliżujący całe ciało...

Ostre promienie słoneczne wtargnęły do pokoju przez nie przysłonięte roletą okno. Młoda kobieta podniosła się gwałtownie na posłaniu, by po chwili oprzeć się na miękkich poduszkach. Przez moment toczyła walkę z pamięcią, chcąc wyrzucić z niej uparcie powracający senny koszmar. Była coraz bardziej pewna, że nie poradzi sobie sama z tak bolesnym problemem. Na dzisiejszy dzień miała konkretny plan. Wzięła szybki prysznic i wypita kilka łyków mocnej porannej kawy. Już po godzinie przekraczała mury uniwersytetu. Lekko wbiegła na pierwsze piętro, podążając w ślad za grupką studentów kierujących się w stronę auli, gdzie rozpoczął się wykład. Młodzi ludzie wyraźnie nie przejmujący się spóźnieniem zajęli nieliczne wolne miejsca, ona natomiast zatrzymała się w drzwiach. Najchętniej wycofałaby się, lecz stanęła nieruchomo, czując, że jest teraz w centrum uwagi prowadzącego wykład. Spowodowało to ledwo wyczuwalną przerwę w prezentacji. Można było zauważyć, że damska część braci studenckiej zorientowała się, że coś musi łączyć ich ulubionego wykładowcę z młodą atrakcyjną brunetką, która pojawiła się na sali. Po kilku sekundach profesor kontynuował przerwany wątek: – Utajone kompleksy i przeżycia – mówił, wykryć można przez psychoanalizę za pomocą wolnych skojarzeń, interpretacji snów, czy wspomnień z wczesnego dzieciństwa. Mając świadomość ich istnienia poprzez wydobycie ich na zewnątrz, łatwiej jest wyciszyć organizm, a tym samym wyzwolić go z psychicznej niewoli – przekazywał swoją wiedzę znawca teorii naukowej Freuda. Angela była prawdopodobnie jedyną słuchaczką, która podczas prelekcji wybitnego profesora całkowicie się wyłączyła. Trwało to aż do chwili, gdy fala zafascynowanych tematem, dzielących się na gorąco uwagami uczestników zajęć wyległa na przestronny, jasny, ożywiony egzotyczną roślinnością hall. – Angela! – postyszała znajomy głos, który przyprowadził ją o dreszcz. – zatęskniłaś za mną, czy za uczelnią? – żartował profesor Bart. – Przyciągnął mnie tu temat pańskiej prelekcji, lecz nie ukrywam, że miło było pana słuchać, a i widzieć także – odpowiedziała bardzo oficjalnie. – Przemawia przez ciebie kokieteria, czy też tak bardzo postarzałem? No tak, minęło przecież sporo lat – odpowiedział sobie na własne pytanie. Ty natomiast kwitniesz, piękna jak dawniej, rzekłbym, jeszcze piękniejsza – wyrażał zachwyt. Angela spostrzegła, że studentki z zazdrością patrzą na swobodną rozmowę przystojnego naukowca z kobietą, której dotąd nie widziały na uczelni. W kwestii uważnego słuchania, nie zgadzam się z tobą. Przyznaj, że chodziło ci bardziej o mnie, niż o wykład. Spojrzał na nią wyczekująco, lecz ona nie zareagowała, więc kontynuował rozmowę. – Szczerze cieszę się z tego spotkania. Podczas prelekcji patrzyłem głównie na ciebie. Moje studentki zauważyły to, czego ty nie widziałaś i teraz – jak im się wydaje – dyskretnie nas obserwują –

podtrzymywał żartobliwy ton wypowiedzi. – A teraz proszę, żebyś posłuchała rady poważnego profesora – zmienił nagle styl swoich wywodów. Angela uśmiechem skwitowała niedokończoną myśl Barta. – Tym razem nie żartuję. Znam twoje problemy. Ktoś, kto bardzo się o ciebie martwi, opowiedział mi o nich. Nie miej mu tego za złe. Polecę ci dobrego psychoterapeutę – mówił, patrząc jej prosto w oczy. Nie czekając na jej zgodę sięgnął do kieszeni i wyjął z niej wizytówkę, co świadczyło niezbicie, że był nastawiony na bezpośrednią rozmowę. – A więc to wszystko było z góry ukartowane... – pomyślała niezbyt zadowolona. Bart podał Angeli karteczkę. Figurowało na niej nazwisko Monroe z pierwszą literą imienia. Spojrzała na profesora nieco zdziwiona, a on uśmiechnął się widząc jej reakcję. Zapewniam cię, że człowiek, którego ci polecam nosi spodnie, ma piękną wypielęgnowaną brodę i co najważniejsze, nie ma nic wspólnego z Marilyn Monroe – dodał szczerze rozbawiony. Pozwól sobie pomóc – powiedział prawie szeptem. Podszedł bliżej, mając zamiar pożegnać się z nią czule. W porę jednak uświadomił sobie, że nie są tu przecież sami. Młode atrakcyjne dziewczyny nie spuszczały z nich oczu. Spojrzał kokieteryjnie na jedną z nich na co ta, wyraźnie speszona zareagowała gwałtownym odwróceniem głowy. Popatrzył raz jeszcze na Angelę, wyjątkowo tego dnia małomówną. Przyglądał się jej przez kilka sekund, jakby chciał się jej nauczyć na pamięć, po czym odwrócił się i odszedł bez słowa. – Nic się nie zmienił – pomyślała przejęta do głębi niespodziewanym spotkaniem po latach. Siedząc już za kierownicą Lamborghini wspominała wspaniałe studenckie czasy. Gdy pomyślała o obecnym dniu jednego była pewna. Gdyby wiedziała, że Bart poprowadzi ten wykład, nie pojechałaby na uniwersytet. – A może tak właśnie miało być? Zastanowiła się. Tak, stwierdziła po namyśle. To spotkanie może mieć jakiś ukryty sens... Stało się tak, jak przypuszczała. Po spotkaniu z Davidem dopadły ją istne huśtawki nastrojów. Najpierw żałowała, że uległa namowom Steve'a i poszła na wykład, by po chwili być przeświadczoną, że było to jej potrzebne. Od kilku lat nie wspominała Barta, jakby wcale nie było go w jej życiu, a przecież była nim oczarowana. Do dzisiaj nie wie, co ją kierowało, że zdecydowała się na rozstanie. Nie było żadnego konkretnego powodu. Uświadamiając sobie fakt, że skrzywdziła mężczyznę, który ją kochał, sądząc, że z wzajemnością, obudziła w sobie zagłuszone przez lata wyrzuty sumienia. – Nie wyglądał na nieszczęśliwego – próbowała się uspokoić, co nie było proste. Utrudniało to znacznie wspomnienie dzisiejszego pożegnania. Zaniepokoiła ją jego powaga i ukradkowe badawcze spojrzenia. Rozdarcie psychiczne nie do opanowania trwało już kilka dni. – Szukałam sposobu na rozwiązanie problemu, a pogрузyłam się jeszcze bardziej – myślała rozgoryczona. Ostatecznie, nie mając innego wyjścia zdecydowała się skorzystać z porady psychoanalityka poleconego przez Davida. Po tygodniu stanęła przy drzwiach gabinetu Monroe, który przyjął ją niezwykle serdecznie. – Prawdopodobnie postępuje tak ze wszystkimi pacjentami – przemknęło jej przez myśl. Po pierwszym seansie hipnozy może się niewiele zmienić – uprzedzał terapeuta. Sądzę jednak, że cała kuracja przyniesie korzystne efekty i znacząco odmieni całe pani życie – dawał kobiecie nadzieję. Angela powściągliwie zareagowała na jego słowa. Uważała, że dyktowane są rutyną zawodową. Czuła jednocześnie, że powinna mu zaufać. W głębi duszy musiała przyznać, że jest profesjonalistą, bowiem tak pokierował rozmową, że w jej trakcie zorientowała się, że bez oporów opowiada o najboleśniejszych nawet problemach. Usiadła posłusznie na siedzisku przypominającym szeslong. Zamknęła oczy, by w skupieniu wsłuchiwać się w kojący zmysły głos Monroe. Zanim wpadła w głęboki trans hipnotyczny usłyszała słowa dochodzące jakby gdzieś z oddali: - Otwierasz furtkę i kierujesz się w stronę ganku przed domem... Lekarz zadał jej jeszcze jakieś pytania, na które już nie odpowiedziała. Odpięła na granicę snów tam, gdzie w mglistych mirażach majaczył dom na wrzosowiskach stojący na tle ściany gęstych lasów.

Biały cabriolet gładko sunął po autostradzie. Czarne i srebrne detale lśniły w słońcu. Kierowcy mijających go samochodów z wyrozumiałym uśmiechem spoglądali na rozśpiewanych pasażerów Lamborghini. „– jak piękna jest młodość, cały świat moim domem...” – dały się słyszeć słowa piosenki. Auto wyjechało na peryferie miasta. Przejeżdżali teraz przez piękne drzewiaste tereny tworzące zielony, kojący zmysły tunel. Kierowca najwyraźniej zmierzał w stronę lotniska. Zajechał na zatłoczony parking. Z samochodu wysiadło pięcioro młodych ludzi w wieku około trzydziestu lat. Opalony na czekoladowy brąz mężczyzna o wysportowanej sylwetce wyjął z bagażnika niewielką torbę podróżną i podszedł do brunetki o proporcjonalnych filigranowych kształtach. - Nie zapomnij, że masz tu wielu przyjaciół – powiedział, podając jej bagaż. - Angela, jak możesz to wszystko zostawiać? Z salonów do starej wiejskiej chałupy z ponurą przeszłością? Przemyśl swoją decyzję, dopóki nie jest za późno – odezwały się głosy. – Dbaj o naszą perełkę Steve. Wierzę, że uda ci się pomnażać zyski. Życzę ci tego z całego serca. Co do mojej decyzji, nie cofnę jej. Nie potrafię i... chyba tego nie chcę – skwitowała wypowiedzi przyjaciół. Za takich uważali się wszyscy towarzyszący jej w drodze na lotnisko. Ona sama nie szafowała słowem przyjaźń, mimo iż ci, którzy byli blisko niej, nigdy jej nie zawiedli. Im zawdzięczała wszystko, co składało się na jej sukces. Nie należała do zbyt ufnych kobiet, szczególnie względem mężczyzn dlatego też nie znalazła dotąd partnera. Nie ubolewała nad tym faktem, chociaż zdarzało się jej z nieskrywaną zazdrością spoglądać na szczęśliwe pary. Gdy bohaterka tego lipcowego popołudnia miała już przekraczać bramkę dla pasażerów samolotu usłyszała słowa Steva: – zapamiętaj nasze motto... I rozległ się śpiew, który wzbudził powszechną sensację – „ Jak piękna jest młodość, cały świat moim domem...” Angela uśmiechnęła się, przekroczyła barierkę, uniosła rękę w geście pożegnania i wmiszała się w tłum pasażerów. Samolot wjechał na pas startowy, by w niedługim czasie wzbić się w przestworza. Bez żalu spoglądała z góry na tętniące życiem miasto. Spędziła w Bostonie kilkanaście lat dobrego życia. Można by powiedzieć, że miała wiele szczęścia. Trafiała na ludzi, którzy podobnie jak ona zaczęli od zera, mieli głowy pełne pomysłów i zapał do pracy. Żyła pełnią życia otoczona ludźmi radosnymi. Świat nie miał dla nich granic. Gdy zostawała sama przed jej oczami pojawiał się natrętnie powracający obraz: stary, wiejski dom na wrzosowiskach, stojący na tle rozległego lasu. Pojawiał się już nie tylko w snach, potrafił nękać ją także w ciągu dnia. – To może być efekt traumy z dzieciństwa, jakieś silne przeżycia związane z tamtym miejscem, bądź też zwykła nostalgia. Nie wiem jak mógłbym ci pomóc. Nie chciałbym żebyś się truła prochami. Na moje oko radzisz sobie... Przytaknęła, lecz w głębi duszy nie zgadzała się z opinią zaprzyjaźnionego specjalisty. Wiedziała, że nie jest książkowym przykładem i żaden psycholog nie zrozumie stanu w jakim się znajduje, a który pojawił się nagle przed rokiem. Doprowadzał ją do coraz większych frustracji. Nie miała już sił, by z nim walczyć, poddała się. Zdecydowała, że po piętnastu latach wróci do rodzinnej wsi, by w domu będącym niegdyś kartą przetargową w walce o majątek, zacząć wszystko od nowa. Czuła wszystkimi zmysłami, że dom stoi samotny, opuszczony, nikt go już nie potrzebuje, tak jak wówczas przed laty jej nikt nie potrzebował. Utożsamiała się z nim. Rozumiała go tak jakby był żywą istotą. – Powinam go znienawidzić za tamte chwile – tłumaczyła sobie. Nie potrafiła. Jakaś przedziwna siła przyciągała ją do niego. Przez kilka godzin nie myślała o przeszłości, ani też o wspaniałej terażniejszości, którą właśnie porzucała. Najdziwniejsze było całkowite zdanie się na łaskę i niełaskę losu, nie zastanawianie się nad przyszłością. Jej dotychczasowa działalność absolutnie wykluczała tego typu zachowania. Nieco głośniejsze rozmowy toczące się wśród pasażerów wytrąciły Angelę z zadumy. Rozejrzała się po samolocie. Wśród uczestników lotu można było wyczuć emocje świadczące o kończącej się podróży. Ona sama była nadzwyczaj spokojna. Jej stan przypominał trans. Stewardesa o nieprzeciętnej azjatyckiej urodzie z iście aktorską dykcją oznajmiła, że za kilka minut samolot przystąpi do lądowania. Będąc jeszcze na

terminalu Angela zauważyła, że wzbudza powszechne zainteresowanie. Na postoju taxi było podobnie. Właściciel taksówki starał się zabawiać ją rozmową. Mówił, że zna się na ludziach, lecz nie udało mu się błysnąć erudycją i talentem oratorskim. Pasażerka nie dała się też wciągnąć w gierki rutyniarza usiłującego „skubnąć” cudzoziemkę. Zrozumiał w końcu, że jego wysiłki idą na marne i ograniczył się do zerkania w lusterko. Szybko okazało się, że chęć zysku była silniejsza. Zaproponował jej jazdę do samego celu podróży, nic nie wskórał. Do Niezgódek jechała już sama, konną bryczką wynajętą od gospodarza mieszkającego kilkanaście kilometrów od jej rodzinnej wioski. Miała ze sobą jedną walizkę, w której mieściły się rzeczy osobiste i niewielka gotówka na trudne początki. Jadąc w rodzinne strony, a pożegnała je kiedyś na zawsze, zadawała sobie pytania: – Skąd te obsesyjne myśli? Skąd nagła decyzja porzucenia dostatniego bezpiecznego życia? Niezrozumiała moc opanowała całkowicie jej silną dotąd wolę. Czuła się jak ubezwłasnowolniona, a jednocześnie ufała losowi, który jej nakazywał: musisz wracać! Wjeżdżała właśnie na rozległy teren pod lasem ogrodzony spróchniałym parkanem. Zanim zdecydowała się przekroczyć furtkę coś nakazało jej być tą samą dziewczyną, która przed laty opuściła dom na wrzosowiskach. Już nie Angela, lecz Amelia bez namysłu wyjęła z walizki stary rozwleczony sweter z melanzowej włóczki w odcieniach szarości i różu, zrobiony specjalnie dla niej przez babcię. Włożyła go, wciągnęła zwykłe jeansy, włosy zebrała w koński ogon i skierowała się w stronę ganku przed domem. Jej serce tłukło się jak ptak uwięziony w klatce. Rozejrzała się wokół całej posesji. Okazało się, że nie była tu sama. Na ławce, która – można by rzec – stała tu od zawsze, wylegiwał się kot o lśniącej, burej przegowanej sierści. Na widok Amelii otworzył jedno oko, spojrzał na nią, ziewnął szeroko, przeciągnął się i na powrót zasnął. Kobieta popatrzyła na zdziczały sad i zarośnięty ogród. Nie pielęgnowane dorodne niegdyś róże rozrosły się jak chwast, tworząc naturalną kolczastą zaporę. Zupełnie jakby strzegły wejścia przed niepożądanymi gośćmi. Musiała wreszcie przekroczyć próg domu. – Nic się tu nie zmieniło – stwierdziła, gdy znalazła się wewnątrz mieszkania. Trzeba było jednak uważać. Zmurszałe deski spowodowały, że podłoga się zapadła i niektóre ze sprzętów niebezpiecznie się przechyliły. Słoneczna pogoda zachęciła Amelię do otwarcia okien. Do środka ciekawie zajrzały malwy. – Doskonale sobie poradziłyście bez babcinej opieki – odezwała się, ni to do siebie, ni to do kwiatów. Już rozmawiam sama ze sobą, jak sobie poradzę z samotnością? – zaniepokoiła się. Popatrzyła na obejście gospodarskim okiem. Miała już gotowy plan. Na początek nawiąże kontakt z sympatycznym starszym panem. Tym, który udostępnił jej bryczkę z koniem. Poprosi go o przywiezienie desek, farb, podstawowych narzędzi ślusarskich i ogrodniczych. – Remont przeprowadzę sama – zdecydowała. Piwniczka w ziemiance doskonale się zachowała, tymczasowo zastąpi mi lodówkę – przeszło jej przez myśl. W tym momencie precyzyjny plan, który układał się w jej głowie zakłóciło coś, co doprowadziło ją niemal do omdlenia. Podłoga usunęła się spod jej nóg, gdy jakby z oddali usłyszała płacz dziecka, a zaraz po nim męski głos i przeraźliwy chichot. Wybiegła na zewnątrz. Podeszła do studni, nabrała wody do starego ocynkowanego wiadra i zaczerpnęła jej w dłoń. Optukała twarz i wzięła głęboki oddech. Zimna woda podziałała jak balsam. – Nie dam się złamać złym wspomnieniom – postanowiła i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę opuszczonego w pośpiechu domu. Resztę dnia spędziła na przygotowaniu niepotrzebnych rzeczy do wywózki. Jeszcze przed wieczorem zajrzała do pomieszczenia przysposobionego niegdyś na spiżarnię. – Przydałoby się jakieś światło... W szufladzie kuchennego kredensu znalazła stare woskowe świece. – Chodź gotąbeczko, pomożesz mi ustawić gromnice w oknach. Niech nas Najświętsza Pani ustrzeże przed nieszczęściem – mówiła babcia do Amelki gdy zanosilo się na burzę, a były one na wrzosowiskach zazwyczaj potężne i budziły grozę. Przy każdej błyskawicy, która jak świetlisty bicz przecinała niebo babcia żegnała się nabożnie i szeptała pacierze. Amelia na dłuższą chwilę zatrzymała w wyobraźni to wspomnienie. Świece na jakiś

czas zastąpią mi światło elektryczne. Może być całkiem romantycznie – starała się utrzymać pozytywne myślenie. Weszła do zagraconego pomieszczenia niczym nie przypominającego dawnej spiżarni. Przy samych drzwiach stała drewniana komódka z trzema szufladami. Otworzyła pierwszą z nich. Była wypełniona pożółkłymi gazetami. Z tej, która leżała na samym wierzchu wycięty był spory fragment. Oczyma wyobraźni ujrzała brakującą część z nagłówkiem krzyczącym czarnymi wielkimi literami i z trzaskiem zamknęła szufladę. Wahala się, zanim zdecydowała się otworzyć drugą. Nie było w niej nic godnego uwagi. W ostatniej obok bezużytecznych drobiazgów leżała mała srebrna tyżeczka i zbutwiały woreczek z lnianego płótna ściągany na rwący się ze starości sznurek. Zajrzała do środka i oniemiała z wrażenia... Zawartość nie była godna takiej oprawy. – Amelko, te perły są cenniejsze niż dom wraz z ziemią, która do niego należy. Przechowam je dla ciebie – mawiała babcia gdy zostawały same i wyjmowała spod bluzki woreczek noszony na szyi obok medalika. Wnuczka potakująco kiwała głową i uśmiechała się. Nigdy nie przywiązywała wagi do jej zapewnień. Teraz w obliczu spełnionej po latach obietnicy stała w bezruchu. Jak to możliwe żeby tak cenna rzecz przeleżała tu kilkanaście lat? – myślała wstrząśnięta niezwykłym odkryciem. Będąc już w pomieszczeniu, które tymczasowo przeznaczyła na sypialnię zorientowała się, że ściska w dłoni srebrną tyżeczkę. Nie pamiętała, w którym momencie ją wzięła, zrobiła to bezwiednie. – To przedmiot, który przyniesie ci szczęście – uświadamiała ja babcia. Od pokoleń istniał w naszej rodzinie zwyczaj obdarowywania srebrną tyżeczką dzieci przychodzących na świat. Strzeż ją, jak najcenniejszego skarbu. Po pełnym emocji dniu Amelia marzyła tylko o jednym: błogo przeciągnąć się w świeżej pościeli i zasnąć. Nie było to jednak realne. Musiała zadowolić się śpiworem, który przezornie zabrała ze sobą, wyruszając w podróż.

Kolejne dni wytężonej pracy powoli zacierały złe wspomnienia, co spowodowało, że w przeciwieństwie do poprzednich, przespiała nocę spokojnym zdrowym snem. Jej działania zmierzające ku temu, by doprowadzić do porządku opuszczone, zaniedbane siedlisko dawały efekty. Wciąż jednak musiała znosić wiele niedogodności. Łagodziło je nieco, wyjątkowo piękne lato. Nie narzekała ponieważ wszystko szło zgodnie z planem. Z życzliwą pomocą Mateusza, który znał się niemal na wszystkim, prace remontowe zakończyła bardzo szybko. Dom stawał się coraz bardziej przytulny i... potulny. Kojarzył się Amelii z oswojonym zwierzątkiem. Miała jednak nieodparte wrażenie, że w tej przedziwnej relacji, wbrew pozorom, to nie ona dyktuje warunki lecz dom właśnie, który odzyskuje utraconą duszę. To ona, niczym dobra wróżka miała zdjąć z niego złą aurę. Tak to odczuwała, mimo iż zdarzało się jej mówić, że kliwosc i sentymentalizm nie są teraz w modzie. Otoczenie domu także zmieniało wygląd. Zadbane i wypielęgnowane rośliny nie tylko zdobiły. Płony z ogrodu i szklarni oraz zbiory z sadu początkowo pomagały jej przeżyć, teraz przyniosły zyski. Odstawiała je na okoliczne targi. Nadeszła jesień. Dorodne owoce w rozległym sadzie cieszyły oko. Kobieta podeszła do okna. Pod posesję zajechała konna bryczka. Wysiadł z niej Mateusz, a zaraz za nim młody mężczyzna trzymający oburącz sporych rozmiarów pakunek. – Amelio, przedstawiam pani mojego syna – powiedział witając się z nią. – Amadeusz, miło panią poznać. Byłem ciekaw tego spotkania. Ojciec wiele mi o pani opowiadał. Muszę stwierdzić, że w tym, co mam zaszczyt oglądać absolutnie nie przesadził – dodał z uśmiechem. Już od pierwszej chwili, kiedy to Mateusz przedstawiał swojego syna, o którego istnieniu nie miała pojęcia, nurtowało ją pytanie: skąd takie właśnie imię? Amadeusz – nieco dziwne. Analizowała w myślach, czym kierowali się prości ludzie nadając je synowi. Zorientowała się, że zbyt długo milczy. Uśmiechnęła się i zaprosiła obu mężczyzn do pokoju. – Przyniosłem upominek. Przyda się, jak sądzę. Proszę go nie odstawiać, lecz jak najszybciej wykorzystać. Koniecznie – dodał. – Musi być strasznie zarozumiały, a takie dobre wrażenie zrobił w pierwszej chwili – pomyślała nieco rozczarowana Amelia. Wypadało rozpakować prezent.

Amadeusz czekał na jej reakcję. Była to okazałej wielkości tablica z napisem „Niezapudki”. Spojrzała na gościa pytającym wzrokiem. – Obaj z ojcem uznaliśmy, że poprzednia nazwa absolutnie już nie pasuje. Poza tym niezapudki mają kolor pani oczu – powiedział. Spojrzał jej uważnie w twarz, jakby chciał się utwierdzić w tym, co powiedział. Amelia, która w wielkim świecie nasłuchiwała się wielu wyszukanych komplementów, teraz była speszona i onieśmielona. Podczas rozmowy przy herbacie okazało się, że Mateusz zainteresowany jest masowym odbiorem owoców i warzyw. Poprosił syna, by pomógł im we wstępnych procedurach. – Nie spodziewałem się, że rozmowy o interesach mogą być aż tak przyjemne i ekscytujące. Wszystko wskazuje na to, że od czasu do czasu będę musiał panią odwiedzić – rzekł z nadzieją. Amelia nie odebrała mu jej. Przez ponad rok jedynym jej towarzyszem był kot Teofil i zaglądający co jakiś czas sąsiad. Odtąd na herbatę z konfiturą przyjeżdżał także Amadeusz. Uświadomiła sobie nagle, że z niecierpliwością czeka na kolejne jego wizyty. Nie powracała już myślami do dawnego życia, które miało jej zapewne wiele do zaoferowania. Korespondencja z Bostonu przychodziła coraz rzadziej. Steve uspokajał ją, że interesy idą nadspodziewanie dobrze. – Wracaj – zachęcał. – Tu jest twoje miejsce – pisali i mówili inni. Nie przekonywała ich, że to niemożliwe. Sądziła, że nie rozumieją. Myliła się, rozumieli i uszanowali jej twardą, nieodwracalną decyzję. Tylko jeszcze jeden raz Steve zażartował: Angela, ten dom ciebie zaczarował. – Tak, masz całkowitą rację – odpowiedziała z powagą. Po tej rozmowie zarówno korespondencja, jak i telefony, urwały się. Czas od momentu przyjazdu Amelii do Niezgódek pędził w szalonym tempie. Płynął tu znacznie szybciej niż w Bostonie. Kobieta spojrzała na kartkę kalendarza. – Dziwne – pomyślała. Zupełnie jakby czas stanął w miejscu. Była dokładnie taka sama data, jak przed dwoma laty gdy opuszczała Boston. Styl życia już nie panny, lecz pani Amelii i jej małżonka Amadeusza dyktowały pory roku. Od wiosny począwszy, aż do późnej jesieni byli pochłonięci pracą. Dawala im wiele satysfakcji i spore zyski. Po pracowitych miesiącach Amelia miała sporo wolnego czasu. Było mroźne popołudnie. Młoda gospodyni odłożyła na chwilę robótkę i podeszła do okna. Czapy śniegu rozłożone dekoracyjnie na gałęziach skrzyły się w słońcu. Kolorowe iskierki załamującego się światła przeskakiwały jak żywe przy każdym poruszeniu się obciążonych białym puchem konarów. Gdy nacieszyła oczy uroczą zimową scenerią powróciła do haftowania. Amadeusz stanął za jej plecami by zajrzeć przez ramię. – A cóż to za małe dzieło ? – zapytał. – Dla wielu będzie to tylko makatka, jaką zwykle wieszano w kuchni. Dla mnie znaczyć będzie dużo więcej – odpowiedziała, uśmiechając się tajemniczo. Tą na pozór banalną makatką Amelia zegnała się z przeszłością, nie do końca zdając sobie z tego sprawę. Czuła jednak, że ma dług wobec losu, który ją tu przywiódł. Nie był to według niej ślepy los, lecz przeznaczenie. Ono zaś postużyło się starym domem, który do niej przemawiał. Skrzypiące drzwi, gwałtowne otwarcie się okna, suchy trzask stopni drewnianych schodów, pomruki, szmery i wiele innych odgłosów. Do jej świadomości docierały słowa: będziesz tu szczęśliwa, uwierz! Wiedziała, że przyjdzie czas, gdy dom zamilknie, i że będzie to dobry znak. Powie tym samym, że jego misja dobiegła końca. Ona z przeświadczeniem, że zadbał o jej szczęście przekona bliskich, że dom to nie tylko cztery ściany i dach, a coś znacznie więcej. W grudniowy przedświąteczny wieczór w Niezapudkach, w drzwiach domu na wrzosowiskach pojawił się Mateusz. – Wkrótce wigilia – powiedział. Usłyszeli najpierw jego głos, bo przystaniała go piękna, dorodna jodła. Dopiero po chwili małżonkowie ujrzeli jego pogodną twarz. Miał bardzo tajemniczą minę. – Otwórzcie drzwi od werandy – poprosił. Stała za nimi drewniana rzeźbiona kotyska i pięknie malowany koń na biegunach. – Nie mogę się doczekać, kiedy mój wnuk przyjdzie na świat i wystrugałem wcześniej – tłumaczył się zakłopotany. – Przyjdzie na świat, jak zakwitną jabłonie, tato. Koń na biegunach musi poczekać nieco dłużej niż ty – żartobliwym tonem odpowiedział Amadeusz. W przytulnej kuchni przy herbacie z konfiturą z róży zasiadła szczęśliwa

rodzina. W oczy rzucała się wisząca na ścianie haftowana makatka. Znajdował się na niej stary dom wśród wrzosów, stojący na tle ściany gęstych lasów oraz napis: „Świat był mi domem, dziś dom moim światem”...

– Czy ten drobiazg ma dla pani jakieś szczególne znaczenie? A może wartość sentymentalną? – pytał Monroe, podając pacjentce małą srebrną łyżeczkę. Wypadła pani z dłoni podczas seansu – dodał. Pierwsze jego słowa Angela postyszała jakby dochodziły z głębokiej studni. Spojrzała na pytającego półprzymkniętym wzrokiem. Czuła się tak, jakby powróciła z międzygalaktycznej podróży. Spojrzała na łyżeczkę i dotarło do niej pytanie Monroe. – Podobno przyniesie mi szczęście – odpowiedziała na nie z niewielkim opóźnieniem. Jej twarz rozjaśnił delikatny uśmiech. – Mam pewną propozycję, pani... – Angela, mam na imię Angela. – przepraszam, ale w dokumentach figuruje pani jako Amelia – stwierdził. Żeby się upewnić, zerknął do formularza. Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale imię Amelia bardziej pani pasuje. – To moje drugie imię – sprostowała zaskoczona prywatnym tonem rozmowy. Po dopełnieniu końcowych formalności, włącznie z ustaleniem daty kolejnej wizyty, gdy podopieczna Monroe, stała już w drzwiach, poprosił ją o chwilę rozmowy. Konkretny stanowczy i pewny siebie mężczyzna zmienił się nagle nie do poznania. Zapytam panią o coś, z czym już czuję się niezręcznie. Nigdy dotąd nie znalazłem się w takiej sytuacji. Obawiam się, że źle mnie pani zrozumie, ale muszę to w końcu powiedzieć – wyrzucił z siebie niemal jednym tchem, cały potok słów. – Nie mogę wiedzieć, co ma pan na myśli, ale może właśnie dlatego czuję się równie niezręcznie. Proszę zatem powiedzieć w czym tkwi problem, a łatwiej będzie nam obojgu. Słowa Angeli ośmieliły doktora. Znacznie pewniejszym tonem zapytał ją wprost: zechciałaby pani uczynić mi ten zaszczyt i spotkać się ze mną prywatnie? Nie zdarzyło mi się dotąd, proponować spotkań swoim pacjentkom. Tym razem czuję, że muszę zrobić wyjątek. – Czy traktuje pan tę propozycję jako element psychoterapii? Zadała mu pytanie, lecz nie potrzebowała potwierdzenia. Kobięca intuicja nie mogła ją mylić. – Podoba mi się pani i jej nieprzeciętna wrażliwość. Czuję się przy pani tak, jakbym ją znał od bardzo dawna. Padły słowa, których się spodziewała. – Istnieje zatem ryzyko, że szybko się panu znudzę – zażartowała. – Mam rozumieć, że moglibyśmy zaryzykować? – zapytał z niepewnością. – Zgoda, lecz nie znam nawet pańskiego imienia. Na wizytówce znajduje się jedynie jego pierwsza litera. – Mateusz – przedstawił się i z szarmanckim uśmiechem ucałował jej dłoń. Po krótkim milczeniu spojrzał jej w oczy i cicho zapytał: mówił ci już ktoś Amelko, że twoje oczy mają kolor niezabudki? Amelia odwzajemniła spojrzenie, lecz nie odpowiedziała na jego pytanie. – Co do imienia, sytuacja jest dziwnie podobna do twojej. Mateusz to moje drugie imię, otrzymałem je po ojcu. Mów mi zatem Amadeusz, bo to imię właśnie dostałem podczas chrztu. Amelia oniemiała z wrażenia. Serce biło jej jak oszalałe. Patrzyła na niego, nie mogąc wykrztusić z siebie ani jednego słowa. – Nie podoba ci się Amelko? – zaniepokoił się. – Ależ tak, bardzo mi się podoba, tylko.... – Nie musisz nic mówić, najważniejsze, że przypadło ci do gustu. Mamy zatem taki sam problem. Musimy oswajać się z naszymi nowymi imionami – odrzekł już zupełnie swobodnie. Amelia nie rozumiała splotu dziwnych wydarzeń związanych z jej życiem. Nie wiedziała już, co jest snem, a co jawą...

Od ostatniej wizyty w gabinecie Amadeusza minęły zaledwie trzy miesiące, a okrzyknięto ich parą. Trwały przygotowania do ceremonii zaślubin. W upalne czerwcowe popołudnie podjechali pod dom ukryty w prawdziwej oazie zieleni. Przyjęli zaproszenie babci Amadeusza. – Spodoba ci się u niej, gwarantuję – zapewniał narzeczoną. Pogodna starsza pani czekała na nich na ganku oplecionym gąszczem troskliwie pielęgnowanych róż. – Dobrze, że jesteś gołąbeczko. Czuję, że się bardzo polubimy. Nie masz nic przeciwko temu żebyśmy usiedli w kuchni? Weszli do pomieszczenia urządzonego w ciepłych rustykalnych klimatach. – To ulubione miejsce Amadeusza – powiedziała,

wskazując na fotelik przy stole, tuż przy ścianie, na której wisiła haftowana makatka. Widniał na niej motyw domu na wrzosowiskach stojącego na tle gęstych lasów rozciągniętych, aż po horyzont. Amelia gotowa była przysiąc, że gdzieś już ją widziała. Czegoś jednak na niej brakowało. Mimo usilnych starań nie mogła sobie przypomnieć o jaki element chodziło. – Najwyraźniej dom ma tu być najważniejszy, pomyślała przytulając się do Amadeusza, a on jakby czytał w jej myślach, głosem pełnym dostojnej powagi powiedział: dom jest najważniejszy...